

BOYS OF TOMMEN #2, CZĘŚĆ 1

KEEPING 13

Zakochanie się było proste.
Trudna była cała reszta.

CHLOE WALSH



truthful
wants to bre

Tytuł oryginału

Keeping 13

Copyright © 2018 by Chloe Walsh

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Mieczkowska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Edyta Giersz

Estera Łowczynowska

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-211-8

CHLOE WALSH

KEEPING 13
CZEŚĆ PIERWSZA

BOYS OF TOMMEN #2

TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2024

Dla Nikki Ashton, mojej drogiej przyjaciółki na całe życie

Od autorki

Niektóre sceny przedstawione w niniejszej historii mogą okazać się skrajnie przygnębiające, w związku z czym proszę o zachowanie ostrożności przy lekturze.

Ze względu na przekleństwa oraz dosadne sceny seksu i przemocy książka jest przeznaczona dla czytelników pełnoletnich.

Akcja toczy się na południu Irlandii około 2005 roku, a w treści pojawia się irlandzki slang.

Na końcu książki znajduje się słowniczek.

Ogromnie dziękuję, że wyruszyliście ze mną w tę podróż.

Z wyrazami wielkiej miłości

Chlo xxx

Rozdział 1

On albo my

Shannon

– Wybieraj, mamó – powiedział Joey. – On albo my?

Zmarznięta do szpiku kości usiadłam na rozklekotanym krześle przy kuchennym stole, przykładając ścierkę do policzka, i wstrzymywałam oddech. Z dwóch powodów.

Po pierwsze, półtora metra ode mnie stał ojciec, i ta świadomość sprawiała, że moje ciało chciało się wyłączyć i gdzieś przepaść.

Po drugie, oddychanie sprawiało mi ból.

Odłożyłam nasączoną krwią ścierkę na stół, odwróciłam się, żeby oprzeć się bokiem o oparcie krzesła, ale wtedy moje ciało przeszył taki ból, że aż jęknęłam.

Miałam wrażenie, jakby ktoś zamarynował mnie w benzynie i podpałił.

Każdy skrawek mojego ciała *płonął* i wył w proteście, gdy tylko mocniej zaciągnęłam się powietrzem. Dotarło do mnie, że mam kłopoty. Działo się ze mną coś naprawdę niepokojącego, a jednak tkwiłam w miejscu, dokładnie tam, gdzie posadził mnie Joey. Nie miałam ani odrobiny siły do walki.

Jest źle.

Jest naprawdę źle, Shannon.

Nie mogłam znieść łkania i kwilenia moich młodszych braci, którzy kulili się za Joeyem.

Ale nie mogłam też na nich spojrzeć.

Wiedziałam, że gdybym spojrzała, tobym się załamala.

Skupiłam się więc na Joeyu, który wpatrywał się w rodziców i żądał *więcej*, a ja czerpałam siłę z jego odwagi i męstwa.

Z jakim próbował uratować nas przed życiem, z którego nie potrafiłiśmy się wyrwać.

– Joey, gdybyś mógł na chwilę się uspokoić... – zaczęła mama, ale mój brat nie dał jej skończyć.

Kipiał ze złości, aż w końcu eksplodował niczym wulkan tam, gdzie stał – na środku naszej zapuszczonej kuchni.

– Nawet, kurwa, nie próbuj się wykrecić gadaniną! – Wbił oskarżycielsko w matkę palec i warknął: – Choć raz w jebanym życiu zrób, co trzeba, i się go pozbądź.

Gdy błagał ją, żeby go wysłuchała, wyczułam w głosie Joeya rozpacz, bo właśnie dogasały w nim ostatnie iskry wiary w matkę.

Mama po prostu usiadła na podłodze i przenosiła wzrok po kolei na każde z nas, ale do żadnego nie podeszła.

Nie, została na miejscu.

U jego boku.

Wiedziałam, że się go boi, sama doskonale znałam przerażenie, jakie budził ten mężczyzna, ale przecież ona była dorosła. Powinna być dojrzała, powinna być matką. To ona powinna nas chronić, a nie osiemnastoletni chłopak, na którego barki spadło to całe brzemie.

– Joey – wyszeptala, patrząc na niego błagalnie. – Czy mogliśmy tylko...

– On albo my – powtarzał Joey bez końca coraz zimniejszym tonem. – On albo my, mamó?

On albo my.

Trzy słowa, które powinny być ważniejsze od wszystkich pytań, które w życiu słyszałam. Problem polegał na tym, że w głębi serca wiedziałam, że niezależnie od odpowiedzi i bez względu na to, jakie kłamstwo zaserwuje sobie i nam, ostateczny rezultat będzie taki sam.

Zawsze był taki sam.

Myśle, że w tym momencie moi bracia też to zrozumieli.

Joey na pewno.

Wyglądał na tak potwornie rozczarowanego, kiedy stał przed matką i czekał na odpowiedź, która przecież nic by nie zmieniła, bo czyny przemawiają donośniej niż słowa, a nasza matka była żywą, oddychającą kukiełką, za której sznurki pociągał ojciec.

Ona nie mogła podjąć żadnej decyzji.

Nie bez jego zgody.

Bracia na pewno modlili się o jakieś wielkie rozstrzygnięcie, ale ja wiedziałam, że nie będzie żadnego przełomu.

Nic się nie zmieni.

Nic się nie poprawi.

Może nawet wyciągnęlibyśmy apteczkę, zmylibyśmy krew, wytarlibyśmy łzy, i wymyślili jakąś historyjkę, żeby wszystko wyjaśnić, ojciec zniknąłby na dzień czy dwa, a potem wszystko wróciłoby do normy.

Złożone obietnice – złamane obietnice. Oto motto rodziny Lynchów.

Byliśmy zrośnięci z tym domem jak dąb z własnymi korzeniami. Nie było stąd ucieczki. Przynajmniej dopóki nie dorośniemy i nie będziemy mogli się wynieść.

Byłam już zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć, więc po prostu przygarbiłam się na krzesło, przyjmując to wszystko, czyli nic, do wiadomości. Jakby ktoś przypomniał mi o wyroku odsiadki bez możliwości przedwczesnego wyjścia.

Pochyliłam się, złapałam za żebra i czekałam na koniec tego wszystkiego. Adrenalina szybko ze mnie ulatywała, a zastępował ją ból przerastający moją wytrzymałość. Smak krwi w ustach był wyraźny i mocny, a przez brak powietrza w płucach zaczynało kręcić mi się w głowie. Moje palce to drętwiały, to mrowiły.

Bolało mnie wszystko, miałam dość.

Miałam już kompletnie dość bólu i tych bzdur.

Nie chciałam żyć w świecie, na który przyszedłam.

Nie chciałam tej rodziny.

Nie chciałam tego miasta ani jego mieszkańców.

Nie chciałam tego wszystkiego.

– Chcę, żebyś coś wiedziała... – wycedził Joey, gdy długo nie odpowiadała. Lodowatym tonem wypływał słowa, które piekły go od środka niczym jad i które musiał wypędzić z głębokich szczelin pękniętego serca. – Wiedz, że nigdy nie nienawidziłem go tak bardzo jak ciebie w tej chwili. – Cały się trząsał, miał zacisnięte pięści. – Wiedz, że nie jesteś już moją matką, choć może powinienem zacząć od tego, że nigdy nie miałem matki. – Zaciśnął usta, bo nie chciał, żeby wylał się z niego cały ból. Duma nie pozwalała mu odsłonić przed tymi ludźmi wszystkich emocji. – Od tej chwili jesteś dla mnie martwa. Zachowaj całe swoje gówno dla siebie. Gdy znów będzie chciał cię uderzyć, już cię nie osłonię. Gdy następnym razem wszystko przechleje i nie będziesz miała za co nakarmić dzieci albo zapłacić za prąd, szukaj forsy u innego frajera. Gdy następnym razem zrzuci cię ze schodów albo złamie ci rękę w alkoholowym szale, odwrócę wzrok, dokładnie tak jak ty dziś w tej kuchni. Od dziś przestaję cię przed nim chronić, bo ty nie chronisz przed nim nas.

Krzywiłam się po każdym słowie, które wylewało się z jego ust, i czułam, jak w najczarniejszej głębi duszy jego ból miesza się z moim.

– Nie odzywaj się tak do matki – warknął ojciec groźnie, podnosząc do pionu swoje stukilowe cielsko. – Ty niewdzięczny, zasmarkany...

– Nie waż się do mnie odzywać, podła kupo gówna – ostrzegł Joey, patrząc na niego spode łba. – Może i łączy nas krew, ale na tym koniec. Koniec z nami, starcze. Jak dla mnie możesz spłonąć w piekle. W zasadzie to mam, kurwa, szczerą nadzieję, że oboje w nim spłoniecie.

W tym momencie poczułam na ramieniu delikatny dotyk wilgotnej dłoni, wystraszyłam się i jęknęłam z bólu.

– Już dobrze – szepnął Tadhg. – Jestem tu.

Przymknęłam oczy, po moich policzkach pociekły łzy.

– Myślisz, że możesz tak do mnie mówić? – Tata wytarł twarz wierzchem ręki, rozsmarowując sobie po niej smugę krwi. – Musisz, kurwa, ochłonać, chłopcze...

– Mnie nazywasz chłopcem?! – Joey odrzucił głowę w tył i zarechotał bez odrobiny humoru. – Mnie? Który przez większość pierdolonego życia wychowuje twoje dzieci?! Który sprząta po was burdel i który haruje jak wół za swoich gównianych rodziców?! – Joey wyrzucił w górę ręce w oburzeniu. – Może i mam dopiero osiemnaście lat, ale jako mężczyzna już dawno cię przeurościłem!

– Nie przeginaj... – warknął ojciec, szybko trzeźwiejąc. – Ostrzegam...

– Bo co, kurwa?! – odparował Joey, nonszalancko wzruszając ramionami. – Sponiewierasz mnie? Pobijesz? Skopiesz? Zlejesz pasem? Połamiesz mi nogi? Rozbijesz mi butelkę na głowie? Zastraszysz? – Joey pokręcił głową i dodał jadowicie: – Zgadnij co? Nie jestem już wystraszonego chłopczykiem, staruchu. Nie jestem już bezbronnym dzieckiem. Nie jestem bezbronną nastolatką, nie jestem twoją zmaltretowaną żoną. – Zmrużył zielone oczy i dodał: – Więc rób, co chcesz, ale ostrzegam, że zrewanżuję ci się dziesięć razy mocniej.

– Wynoś się z mojego domu – syknął tata cicho. – I to już, chłopcze.

– Teddy, przestań! – zaskamlała mama, rzucając się w jego stronę. – Nie możesz...

– Zamknij mordę, kobieto! – ryknął ojciec, skierowując furie na mamę. – Rozwalę ci gębę! Rozumiesz?

Mama się zdrygnęła i spojrzała na Joeya z wyrazem bezradności na twarzy.

– Nie możesz go wyrzucić... – Słowa mamy odpląły gdzieś w bok, wpatrywała się z czystym strachem w mężczyznę, za którego wyszła. – Proszę. – Po jej bladych policzkach spłynęły łzy. – To mój syn...

– Och, czyli nagle jestem twoim synem? – zaśmiał się gorzko Joey. – Nie potrzebuję twojego wstawiennictwa.

– To twoja wina, dziewczyno – warknął ojciec i wbił wściekły wzrok we mnie. – Kurwisz się po całym zajebanym mieście, ściągasz kłopoty na rodzinę! To ty jesteś tu problemem...

– Nawet nie próbuj – ostrzegł podniesionym głosem Joey. – Nawet na nią nie patrz, do cholery!

– Taka prawda – wycedził ojciec, nie odrywając brązowych oczu od mojej twarzy. – Zajmujesz tu tylko przestrzeń, zawsze tak było. Tłumaczyłem matce coś ty za jedna, ale nie chciała słuchać – dodał z okrutnym wyrazem twarzy. – Ale ja wiedziałem. Odkąd byłaś mała. Pierdolona czarna owca. Nie wiem, skąd się wzięłaś – wypluł te słowa, patrząc na mnie wilkiem.

Spojrzałam na człowieka terroryzującego mnie przez całe życie. Stał na samym środku kuchni, jak potężna siła, z którą trzeba się liczyć, a dwie silne ręce zakończone pięściami wyrządziły mi tyle krzywdy, że już straciłam rachubę. Ale najgłębiej ranił jego język, jego słowa.

– To kłamstwo, Teddy! – wydusiła mama. – Shannon, dziecinko, to nie...

– Nigdy cię nie chcieliśmy – kontynuował ojciec. – Wiedziałaś o tym? Matka zostawiła cię w szpitalu na tydzień, bo nie wiedziała, czy cię nie oddać, ale w końcu wyrzuty ją zjadły. Ale ja zdania nie zmieniłem. Nie mogę nawet na ciebie patrzeć, a co dopiero kochać.

– Shannon, nie słuchaj go – rzucił Joey ostro ciężkim od emocji głosem. – To nieprawda. Gnój się odkleił. Po prostu to ignoruj. Słyszysz mnie, Shan? Ignoruj go.

– Ciebie też nie chciałem – syknął do niego ojciec.

– Serce mi krwawi – odparł szyderczo Joey.

– No to jest nas więcej! – ryknął Tadhg, a ręka, którą trzymał na moim ramieniu, drżała. – Żadne z nas *cię* nie chce!

– Tadhg... – powiedział Joey niskim, ostrzegawczym tonem, ale w jego oczach błysnęła panika. – Cicho. Ja się tym zajmę.

– Nie, nie będę cicho, Joey – wydusił Tadhg z gniewem, jakiego żaden jedenastolatek nie powinien jeszcze znać. – To on jest, kurwa, problemem tej rodziny i musi to w końcu usłyszeć.

– Zabierz mi go sprzed oczu! – zawył ojciec na matkę, która trzymała się nieco dalej, zachowując dystans od nich obu. – Już, Marie! – zawył jeszcze głośniej, mierząc w nią palcem. – Zabieraj tego małego bękarta, bo ja się nim zajmę!

– Tylko, kurwa, spróbuj – powiedział prowokująco Joey, chowając za plecami Olliego i Seana, którzy przywarli do jego boków.

– Nie! – załkała mama, stając między ojcem a Joeyem. – To *ty* musisz stąd iść.

Tata postąpił krok naprzód i matka odruchowo się skuliła, błyskawicznie zasłaniając twarz rękoma.

Wyglądała jak ucieleśnienie żalości.

Nigdy nie mieliśmy szans, żeby przeciwstawić się tym ludziom.

Jak to możliwe, że w ludzkim sercu strach miesza się z miłością?

Jak mogła go *kochać*, a równocześnie tak bardzo się go bać?

– Coś ty powiedziała?! – syknął wściekle. – Coś ty, kurwa, do mnie powiedziała?!

– Idź – wykrztusiła mama, trzęsąc się jak osika i cofając o kilka kroków. – To koniec, Teddy. Mam dość, z nami koniec. Nie mogę już... Musisz *odejść*!

– Masz dość? – zapytał jadownicę, mordując ją wzrokiem. – Myślisz, że mnie zostawisz? – zapytał i zaśmiał się okrutnie. – Należysz do mnie, Marie. Słyszysz? Do mnie, kurwa! – Zbliżył się do matki o kolejny krok. – Wymyśliłaś sobie, że możesz mnie wyrzucić? Albo *odejść*?

– Po prostu idź – wydukała. – Teddy, chcę, żebyś stąd poszedł! Wynoś się z naszego życia.

– Myślisz, że możesz sobie żyć beze mnie? Beze mnie jesteś *nikim*, suko! – ryknął ojciec, a jego wzrok wypełniło niepohamowane szaleństwo. – Kobieto, odejść możesz tylko w trumnie. Prędeż cię zabiję, niż pozwolę odejść. Słyszysz? Prędeż spalę tę chałupę razem z tobą i twoimi pizdami.

– Przestań – zapłakał Ollie, który obejmował nogę Joeya. – Niech on przestanie – płakał, trzymając się kurczowo starszego brata, jakby ten mógł wszystkiemu zaradzić. – Proszę.

– A tyś się zamienił nagle w babę? – rzucił ojciec, patrząc na niego z obrzydzeniem. – Zmężniej, Ollie, mała popierdółko.

– Dość, Teddy! – wrzasnęła mama, łapiąc się za pierś. – Wynoś się!

– To mój dom, kurwa! – wyryczał ojciec. – Nigdzie nie idę!

– W porządku – powiedział Joey spokojnie, po czym spojrzał na naszych braci. – Ollie, wyjdź na zewnątrz i zabierz Seana. – Wyjął z kieszeni dzinsów komórkę i dał ją Olliemu. – Masz, zadzwoń do Aoife, dobra? Zadzwoń, to po nas przyjedzie.

– Nie, nie, nie... – Mama zaczęła panikować. – Joey, proszę, nie zabieraj mi ich.

Ale Ollie tylko kiwnął głową, złapał Seana za rękę i wybiegli razem z kuchni, bez wahania omijając wyciągnięte rozpaczliwie ręce mamy.

Jeden miał dziewięć lat, a drugi trzy i jej nie ufali. Chłopcy w tym niewinnym wieku wiedzieli już, że – świadomie czy nie – matka by ich zawiodła.

– Kazałam mu odejść... Kazałam mu, Joey. Proszę, przecież wybrałam ciebie. Oczywiście, *oczywiście*, że wybieram ciebie! – Podbiegła do niego, złapała go za bluzę kruchymi rękoma i spojrzała na niego z dołu. – Proszę, nie rób tego... Joey, proszę cię. Nie zabieraj moich dzieci.

– A po co jesteś im potrzebna, skoro nie potrafisz zapewnić synom bezpieczeństwa? – zapytał Joey, nawet nie drgnąwszy. Lecz

matka się go uwiesiła, błagając o ostatnią szansę, i pewnie dlatego drżał mu głos. – Snujesz się w tym domu jak pierdolony duch – warknął. – Jesteś jak tapeta na ścianie, mamó. Jak mysz. – Przeczeszał blond włosy drżącą dłońią i syknął: – *Szkodzisz nam!*

– Joey, zaczekaj... zaczekaj! Proszę, nie rób tego. – Złapała go za rękę, padła na kolana i błagała dalej. – Nie zabieraj mi dzieci.

– Nie mogę ich tu zostawić – wydusił Joey, ciężko dysząc. – A ty podjęłaś decyzję.

– Ty nie rozumiesz! – krzyknęła rozpaczliwie, kręcąc głową. – Nie widzisz...

– Więc wstań, mamó – wydukał Joey, a w jego głosie też pojawiła się błagalna nuta. – Wstań z kolan i wyjdź z tego domu razem ze mną.

– Nie mogę! – załkała, kręcąc głową. – Zabije mnie.

– Więc umieraj – odparł po prostu Joey, tym razem głosem wypranym z emocji.

– Puść go, Marie – szczerknął ojciec złośliwie. – Wróci z podwiniętym ogonem. Bezużyteczna pizda. Nie przetrwa sam nawet dnia...

– Zamknij się! – krzyknęła matka najgłośniejszym głosem, jak w życiu słyszała. Zebrała się z podłogi, pociągając nosem, odwróciła na pięcie i wbiła w ojca wściekłe spojrzenie. – Po prostu się zamknij! To wszystko twoja wina. Rujnujesz mi życie. Niszczysz moje dzieci. Jesteś pierdolonym wariatem...

Grzmot.

Słowa matki przeszły w zbolące wycie, gdy pięść ojca spadła z pełną mocą na jej twarz. Padła na ziemię jak worek ziemniaków.

– Myślisz, że możesz tak do mnie gadać? – wycedził ojciec, patrząc na nią z góry. – Jesteś śmieciem, kurwo zajebana!

Joey szybko zapomniał o niedawnych groźbach. Jego ręce wystrzeliły w przód i mocno odepchnął ojca.

– Nie dotykaj mojej matki, kurwa! – Popchnął go drugi raz.

– Nie dotykaj jej! – Kucnął, próbował podnieść mamę. – Mamó,

proszę... – Załamał mu się głos, gdy przy niej klęknął. – Po prostu od niego odejdz. – Ujął jej twarz w zakrwawione ręce. – Coś wymyślimy, dobrze? Coś wykombinujemy, ale tu nie możemy zostać. Zajmę się tobą...

– Za kogo ty się, kurwa, uważasz – ryknął groźnie ojciec i rzucił się w stronę Joeya. – Myślisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy, gówniarzu? Żeś lepszy ode mnie?! – Zacisnął wielką dłoń na karku Joeya i zmusił go do klęknięcia. – Że możesz mi ją zabrać? Ona nigdzie nie idzie! – Docisnął, wprasowując czoło Joeya w kafelki na podłodze. – Mówiłem, że nauczę cię manier, niewdzięczny bękarcie. – Wbił kolano w lędźwie Joeya, całkowicie go unieruchamiając. – Uważasz się za mężczyznę, gówniarzu? No to pokaż matce, jaki z ciebie mężczyzna: klęczysz przede mną i becysz jak mała kurwa!

– Przestań! – wrzasnęła mama i pociągnęła ojca za rękę. – Zostaw go, Teddy!

– Lepszy ze mnie mężczyzna niż z ciebie – syknął Joey stłumionym głosem, bo musiał z całych sił opierać się miażdżącej masie ojca.

– Tak myślisz? – Ojciec szarpnął go za włosy do tyłu, po czym rąbnął jego głową o posadzkę. – Jesteś kupą gówna, kmiocie.

Joey wypluł krew, wbił dłonie w podłogę i z trudem podniósł własny ciężar, rozpaczliwie i nieudolnie próbując wyrwać się z uchwytu ojca, który jeszcze raz wyrznął jego głową o kafelki. Moje uszy wypełnił odgłos miażdżonej kości, skrzyknęło mnie w żołądku, ale Joey nie chciał się poddać.

– Tylko na tyle cię stać? – Obnażył zęby, na ich bieli zalśniła czerwień krwi. – Tracisz formę, staruchu! – warknął, rzucając się wściekle w ręce ojca.

– Puść go! – krzyczała ciągle mama, szarpiąc ojca za ramię. – Teddy, zabijesz go!

– I dobrze! – ryknął ojciec, odrzucając matkę na bok jednym machnięciem ręki. – A ty będziesz następna, zdradliwa szmato!

Trzęsłam się jak opętana, chciałam coś zrobić, ale nie byłam w stanie nawet drgnąć.

Nie potrafiłam zmusić kończyn do ruchu.

Nie zostało mi nawet dość siły, by wstać z krzesła.

Lata podłego traktowania i cięgi, które dopiero co dostałam, doprowadziły do tego, że w wieku szesnastu lat nie potrafiłam o własnych siłach wstać z krzesła.

Pozostałam więc bezwładna i żalosna tam, gdzie posadził mnie Joey, krew spływała strumieniem po mojej twarzy, a serce biło w piersi coraz wolniej.

Dotarło do mnie, że umieram. Albo moje ciało przeżywało ciężki wstrząs. W każdym razie działo się ze mną coś poważnego. I nie potrafiłam pomóc jednemu człowiekowi, który zawsze pomagał mnie.

Wirowało mi w głowie, szklistym wzrokiem dostrzegłam, że Joeyowi udało się wykręcić w bok, kiedy zaczął walczyć z ojcem na podłodze.

Gdy ojciec znów znalazł się na górze, moje serce osunęło się w czarny odmęt żołądka. Jedną dłoń zacisnął na gardle mojego brata, a drugą zamknął w pięść, którą okładał jego twarz. Joey rzucał się wściekle, rozpaczliwie próbował się wyrwać, ale nie miał szans. Ojciec ważył przynajmniej dwadzieścia kilo więcej.

Joey zaraz umrze, wrzasnęło moje serce. Ratuj go.

Próbowałam.

Próbowałam jakoś pomóc, ale owładnięta paniką nie mogłam się nawet poruszyć.

Czułam się jak sparaliżowana.

– Pomóż jej... – wycharczał Joey, wypluwając jednocześnie krew. – Pomóż jej, kurwa!

Komu?

Komu, Joe?

Co kilka sekund czarniało mi przed oczyma, więc chyba stopniowo traciłam przytomność. Zdołałam pomyśleć, że to zły znak, że skrzywdził mnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

O wiele bardziej.

Zauważyłam kątem oka, że Tadhg podchodzi do kredensu. Szarpał za kolejne szuflady, wyciągnął nóż i bez zawahania rzucił się do ataku.

Zrób to. Wysyłałam do nieba nieme błagania, żeby natchnęły go odwaga. *Żeby po prostu to zrobił.*

– Zostaw mojego brata! – wrzasnął Tadhg, przystawiając ostrze noża do gardła ojca. Ręka nawet mu nie drżała, a wzrok wbił w ojca.

– Tadhg, odłóż nóż – załkała mama, zmierzając powoli w jego stronę. – Proszę cię, skarbie.

– Spierdalaj – odkrzyknął jej Tadhg, nie odrywając spojrzenia od ojca. – Zostaw. Mojego. Brata.

Zrób to, Tadhg, modliłam się w duchu. *Powstrzymaj go raz na zawsze.*

– Nie wygłupiaj się, chłopcze – parsknął ojciec, ale w jego głosie było zdecydowanie więcej obawy niż szyderstwa.

Dobrze.

Bój się.

– Nie jestem głupi – odpowiedział Tadhg lodowato. – I nie jestem taki jak Joey. – Dodał, zbliżając się o krok i wbijając końcówkę noża nieco głębiej. – Shannon mnie nie powstrzyma.

Serce mi pękło.

Miał jedenaście lat. Oto w kogo zdążyli go już zamienić.

Modliłam się, żeby zabił ojca. Żeby ostatecznie to wszystko zakończył.

Kim więc sama się stałam, do cholery?

Poczułam ochotę, by poprosić brata, żeby wbił nóż także we mnie, żeby naprawdę to wszystko się skończyło.

Oni byli tacy silni, a ja taka słaba.

Byłam za miękka.

Nie potrafiłam tak jak oni odbijać się od dna.

Poddałam się.

– Tadhg – wydyszał Joey z podłogi, jego pierś próbowała desperacko nabierać powietrza w płuca, bo ojciec ciągle trzymał go za gardło. – Już dobrze. – Miał twarz we krwi, znowu złamany nos. Obie dłonie zaciśnięte na ręce ojca. – Na spokojnie...

– Wcale nie jest dobrze, Joey – odparł Tadhg bez emocji. – Na pewno nie jest dobrze.

– I co zrobisz, chłopcze? – zapytał szyderczo ojciec. Wciąż siedział okrakiem na Joeyu, ale jego nabiegłe krwią oczy były coraz bardziej zaniepokojone i wpatrzone w młodszego syna. – Dźgniesz mnie?

– Tak.

Ojciec postanowił sprawdzić jego blef, wyciągnął rękę po nóż, ale szybko ją cofnął, bo po jego szyi spłynęła strużka krwi.

– Jezu Chryste, Tadhg! – ryknął, jego jabłko Adama podrygiwało nerwowo. – Drasnąłeś mnie!

– To natychmiast się kończy – powtórzył Tadhg, zbliżając się jeszcze o krok. – Złaż z mojego brata i wynoś się z tego domu raz na zawsze. Jak nie, to poderżnę ci gardło i zdechniesz.

Gdy ojciec puścił Joeya i wstał, nie byłam pewna, czy poczułam ogromną ulgę, czy gorzki żal.

Podejrzewałam, że trochę tego, trochę tego, choć pewności mieć nie mogłam, bo nie byłam w stanie sformułować żadnej spójnej myśli.

Byłam już zbyt wyczerpana, żeby podtrzymywać własny ciężar, osunęłam się w przód i położyłam policzek na stole. Oddychałam szybko i płytko, próbowałam znieruchomieć, żeby nie poruszać pokiereszowanymi kośćmi.

Wszystko tak bardzo bolało.

Zakrztusiłam się krwią spływającą mi z ust do gardła.

Trzęsąc się, opanowałam odruch wykrztuśny i po prostu zamarłam.

Poddałam się temu wrażeniu krwi spływającej do gardła i metalicznemu posmakowi na języku.

Byłam zamroczona i coraz słabiej obecna, pozwoliłam powiekom opaść, odcięłam się od ich przekrzykujących się głosów. Skupiłam się na nierównym łomocie serca, który słyszałam w uszach.

– Pomóżcie jej, kurwa, dobra?!

Łup, łup, łup.

– Zabiję cię, Marie.

Ł... łup, łup, łup.

– Wypierdalaj stąd!

Łup... łup... łu... łup...

– Już nie żyjesz, babo.

Łup... łup... łu... łup...

Trzask drzwi.

Łuuuuuuup... łu... łu... łup.

Kocham cię, Shannon jak ta rzeka...

Łup! Łup! Łup! Łup!

Moje ciało było poturbowane, dołączył do tego jeszcze głęboki żal. Twarz Johnny'ego była jak światło straconej nadziei rozlewające się za moimi powiekami, gdy przyjmowałam podaną mi dłoń.

Z moich rzęs skapywały gorące łzy żółci i żalu, rozpryskiwały się na policzkach, mieszały z krwią.

Było mi tak smutno, jakby ktoś mnie okradł.

Może w innym życiu to wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Może tam mogłam być szczęśliwa.

Myszę, że będę potrzebował cię już na zawsze...

– Co z nią? – usłyszałam czyjeś ostre pytanie, a głos tego kogoś brzmiał bardzo podobnie do głosu Aoife, dziewczyny Joeya. – Dlaczego krwawi z ust?!

Czego się boisz, Shannon? Nie skrzywdzę cię...

– Shannon! Shannon! Jezu Chryste, zróbcie coś!

Powiedz mi, kto podniósł na ciebie rękę, a ja wszystko naprawię...

– Patrz, co narobiłeś! – Dobiegł mnie krzyk matki.

Zaopiekuję się tobą...

– Dzwońcie po karetkę!

Będziesz ze mną bezpieczna...

– Ona umiera. Zabił moją siostrę. A wy nic nie robicie!

Nie pozwolę ci upaść... Trzymam cię...

– Dzwońcie po karetkę, kurwa!

Zostań ze mną...

Poczułam na twarzy dwie ciepłe ręce, rozkoszowałam się ich dotykiem.

– Słyszysz mnie? – Głos Joeya wypełnił mi uszy. – Zabiorę cię stąd, dobrze?

Po prostu mnie całuj...

– Shannon, słyszysz mnie?

Kocham cię, Shannon jak ta rzeka...

– Shan? – poczułam, że coś dotyka mojego oka. To palce Joeya unosiły moją powiekę. – Shannon, odezwij się do mnie, no już.

Otworzyłam oczy, zmusiłam się do skupienia wzroku na jego przerażonej twarzy.

– Sprowadzę pomoc, okej? – Zaczerpnął powietrza w płuca. – Karetka już jedzie.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Nie potrafiły sformułować potrzebnych mi słów.

– Shannon, oddychaj. – Mama przede mną kucnęła, potem uklękła obok Joeya, jedną dłonią dotykała mojej twarzy, a drugą przykładła mi do piersi woreczek mrożonego groszku. – Oddychaj, Shannon – powtarzała. – Oddychaj, skarbie.

Pomagało mi to?

Przeszkadzało?

Nie wiedziałam.

Wiedziałam tylko, że *nie mogłam* oddychać.

A najstraszniejsze, że miałam to gdzieś.

Nie panikowałam.

Nie bałam się.

Miałam po prostu... dość.

– Shan – powtórzył Joey, jego twarz zamieniała się w maskę trwogi. – Shannon, proszę cię. – Kucnął, załapał mnie za ramiona i delikatnie mną potrząsnął. – Jezu Chryste, Shannon, powiedz coś!

Próbowałam, ale nic nie powiedziałam.

Zakaszłałam, zaczęłam odkrztuszać obcy, metaliczny smak, z moich ust wydostał się gęsty i mokry glut.

Głowa opadła mi na bok, ale Joey złapał mnie za twarz i od razu ją naprostował.

– Aoife, daj kluczyki – wydusił, nie odrywając zielonych oczu od moich. Puścił mnie i gdzieś zniknął. – Sam ją zawiozę.

– Joey, nie ruszaj jej. Może mieć krwotok wewn...

– Kochanie, daj, kurwa, kluczyki!

Gdy przestał mnie podtrzymywać, od razu opadłam w przód i zawiesiłam się bezwładnie na matce.

– Już dobrze – szeptała, obejmując mnie i głaszcząc. – Wszystko będzie dobrze.

Szkoda, że nie potrafiłam utrzymać własnego ciężaru i musiałam na niej wisieć. Nie chciałam jej dotykać, ale nie miałam siły.

Ostatnie, co pamiętam, zanim wszystko zabrała ciemność, to dotyk biorącego mnie na ręce brata, a potem jego szept tuż przy moim uchu: „Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie...”.